



MARGINESY

IZOLDA KIEC

GINCZANKA

NIE UPILNUJE MNIE NIKT

COPYRIGHT © BY Izolda Kiec

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2020

SPIIS TREŚCI

WSTĘP	7
1. RÓWIEŃSKI ANIOŁ	15
Równe Wołyńskie (1917/1918–1935)	18
Dom	38
Sana	64
Blumka	91
Poetka	97
...i poeci	110
Epilog	129
2. ERSATZ TYLKO	133
Warszawa (1935–1939)	140
Cyganeria	152
W Śródmieściu	172
Satyryczna liryczka	214
Łowy	228
Miłość?	238
Epilog	252
3. WŁOSY	257
Równe–Lwów–Kraków (1939–1944)	262
Literatka we Lwowie	286
Jabłonowskich 8a	311

6 SPIS TREŚCI

Janusz	327
Epilog	365
ZAKOŃCZENIE	369
Proces	370
Mitologia braku świadectwa	383
Poezje wybrane	393
Podziękowania	398
Bibliografia	400
Wykaz źródeł ilustracji	409
Indeks osób	415

WSTĘP

Z Ginczanką będziesz miała w przeszło 30 lat po jej śmierci
mały kłopot, jaki ja miałem za jej życia.

(Józef Łobodowski do Stefanii Kossowskiej, 1975)

Zuzannę Ginczankę spotykam od lat nieustannie. Za każdym razem inną, odmienioną głównie moim doświadczeniem, coraz bardziej różniącym się od jej dwudziestoparoletniego świata. Kiedyś Zuzanna była moją rówieśnicą, dzisiaj – mogłaby być córką. Gdy z tej perspektywy czytam jej wiersze, po raz kolejny widzę w nich coś innego, nowego, coś, co wcześniej umykało, nie było dość istotne, czekało na swój odleglejszy czas, by wybrzmieć. Czy dlatego obraz poetki wydaje się odpomniany nie w pełni, wciąż zamazany, niejasny? Przecież dzieje się tak, pomimo wciąż odkrywanych faktów i świadectw z życia Ginczanki, ujawniania utworów, które poukrywane były (są?) w rękopisach i starych czasopismach. Czy dlatego pojawia się coraz więcej pytań o Zuzannę, znacznie więcej niż odpowiedzi w jej sprawie?

Ani sama Zuzanna, ani czas, w jakim żyła, ani kolejne miejsca, w których próbowała się zadomowić bądź schronić jedynie, nie sprzyjają rozjaśnieniu obrazu. Jego rekonstrukcja to prawdziwa archeologia fragmentów, śladów, ruin. A może tak właśnie metaforyzują się osobowość i los Zuzanny Ginczanki? Poprzez wymknięcie, ucieczkę, otwarcie, na przekór zamykaniu, znakowaniu albo – korzystając ze słownika samej autorki i podążając za jej

myślą wyrażoną w wierszu *Zza barykad* – „spojoności”¹, niemożliwej do osiągnięcia, mimo chęci i starań.

Gdy zatem podczas gromadzenia materiałów do niniejszego wydania biografii Zuzanny Ginczanki raz po raz ogarniała mnie pewność znalezionego śladu, już po chwili okazywało się, że kolejny dokument, kolejne wspomnienie zawierają inną, nową „prawdę” o autorce. Ujawniają jej nieznaną dotąd twarz. Choćby w sensie dosłownym, najprostszym – nieprzeciętnej urody poetki. Co z tego, że znam, wszyscy znamy, jej fotografie, portrety, a także zachwyty, wymowne porównania i efektowne imiona – od Sulamity do Gwiazdy Syjonu. Proszę przeczytać fragment listu, jaki po opublikowaniu w latach dziewięćdziesiątych moich artykułów o Zuzannie², uzupełnionych ukazującymi się wówczas po raz pierwszy zdjęciami rówieńskiej gimnazjalistki zachowanymi w jej prywatnym albumie³, napisał do mnie z Waszyngtonu Tadeusz Wittlin, znajomy „Zuzi” (jak sam nazywał Ginczankę) z przedwojennej Warszawy: „Oglądając zdjęcia, które Pani zamieściła, widzę, że Zuzanna stanowczo nie była fotogeniczna. W oryginale bowiem była znacznie ładniejsza i nie tak semicka i zwyczajna jak na fotografiach”. I dalej: „Nikt oprócz mnie nie wspominał o bardzo czerwonych jej policzkach”⁴.

Nawet podoba mi się wizerunek Zuzi z rumianymi policzkami, choć jest odległy od portretów Sulamity Józefa Łobodowskiego i Gwiazdy Syjonu Jerzego Andrzejewskiego, a także od

¹ Z Ginczanka, *Zza barykad*, w: tejsze, *Poezje zebrane (1931–1944)*, wstęp i oprac. I. Kiec, Warszawa 2019, s. 168–169. Przywołując wiersze Zuzanny Ginczanki, korzystam z powyższego wydania; po cytacie podaję w nawiasie numer strony, na której znajduje się ów fragment tekstu.

² I. Kiec, *Trochę wierszy, trochę fotografii, wspomnienia kilku przyjaciół*, „Czas Kultury” 1990, nr 16; tejsze, *Przyjaciele Zuzanny Ginczanki*, „Czas Kultury” 1991, nr 24/25.

³ Ocalonym we wrześniu 1939 roku z wynajmowanego warszawskiego pokoju Zuzanny Ginczanki przy ulicy Szpitalnej 5; po wojnie przekazanym do Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie.

⁴ List Tadeusza Wittlina do Izoldy Kiec, Waszyngton, 1 sierpnia 1990. W posiadaniu adresatki.

mojego wyobrażenia, być może mojej wiedzy o Zuzannie, o której nigdy przecież nie myślę: Zuzia. I której twarz widzę bez rumieńców, coraz bledszą, coraz bardziej niewyraźną, niknącą w szarościach starej fotografii. Choć coraz jaśniej uświadamiam sobie w tym momencie przewrotne znaczenie słów samej autorki: „Nie upilnuje mnie nikt”. To ostrzeżenie niepokoi i ostrzega przed uzurpacją, przed próbą zawłaszczenia. Nie tylko przecież dotyczy adresata wiersza *Zdrada*, z którego pochodzi ów cytat, miłosnego liryku napisanego przez niezależną, uległą jedynie własnym emocjom kobietę, lecz także wszystkich tych, którzy właśnie trzymają w ręku pióro albo wpatrują się w klawiaturę laptopa i pewni swoich przywilejów reprezentacji piszą: Zuzanna Ginczanka...

„Nie upilnuje mnie nikt” – te słowa towarzyszą mi od pierwszej chwili naszego spotkania wiele lat temu – jej, zapomnianej poetki, i mnie, debiutującej badaczki, biografistki, literaturoznawczyni. Na nieśmiałą propozycję bowiem, jaką przedstawiłam mojemu promotorowi – profesorowi Jerzemu Ziomkowi – by pracą doktorską poświęcić odpominaniu mało komu znanej autorki, jej poezji i jej dramatycznego losu – wybitny uczony i najlepszy nauczyciel wyrecytował natychmiast wiersz *Zdrada*, w ten sposób wyrażając aprobatę dla mojego pomysłu:

Nie upilnuje mnie nikt,
 Grzech z zamszu i nietoperzy
 zawisał na strychach strachu półmysią głową w dół –
 O zmierzchu wymknę się z wieży, z warownej ucieknę wieży
 przez cięcie ostrych os,
 przez zasiek zatrutych ziół –

Ciężko powstaną z rumowisk tłoczące turnie przykazań
 dwadzieścia piekieł Wedy,
 płomienie,

wycie
 i świst,
 noc fanatyczna zagrozi, zakamieniuje gwiazdami,
 Rtęcią wyślizgnę się z palców.
 Nie upilnuje mnie nic.

Ty w wilka się zmienisz, ja w pliszkę –
 ty w orła, ja w kręte dziwy – –
 nieprzeniknionym zamysłem uprzedzę każdy twój pościg.
 Nie upilnuje mnie świat,
 o luby – o drogi – o miły,
 jeśli nie zechcę
 sama
 słodkiej majowej
 wierności.

(302)

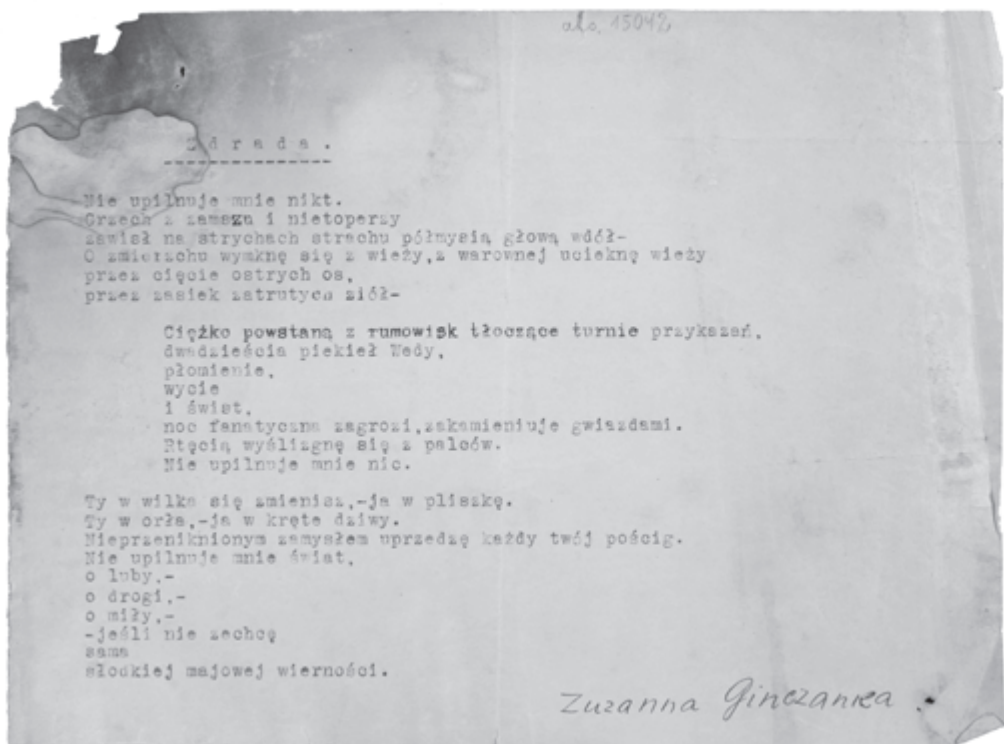
Wymknę się z wieży, ucieknę z wieży... wyślizgnę się z palców... zmienię się w pliszkę, w kręte dziwy... uprzedzę pościg... nie upilnuje mnie świat... Czy wobec tak manifestowanej niezależności, domagania się wolności decydowania i wyborów, można uczynić los Zuzanny jednoznacznym? Czy da się go ująć w ramę, zamknąć, opatrzyć etykietą? Czy wypada zabierać poetce prawo do milczenia, intymności i własnych tajemnic? Pytania są wyłącznie retoryczne. Bo historia Zuzanny Ginczanki pozostanie niedokończona, a jej osobowość będzie fascynować nierozpoznanie, niedopowiedzeniem, domysłem. Dlatego oprócz przedstawienia faktów opowiem w tej książce o poszukiwaniach, pytaniach, poszlakach i ginących albo pozacieranych śladach. O Zuzannie, Sanie i Zuzi.

Nie tylko jednak interesują mnie dowody oraz ich interpretacje, analizy dokumentów i wspomnień, sięgam również do wierszy Ginczanki, ich lektury bowiem nie izoluję od życia poetki. Prze-

ciwnie – bo niekiedy tam, w słowach, ale i pomiędzy słowami Zuzanny, próbuję odszukać ślady jej decyzji, postępowania, myślenia o własnym losie. Gdyż – jak zauważył Waław Oszejca – ten los, bez wierszy... Po raz pierwszy – choć niejednokrotnie cytowałam to zdanie wrażliwego czytelnika poezji – dopowiem za autora. Bez wierszy tego losu by nie było. Zuzanna Gincburg byłaby jedną z milionów, anonimową, pozbawioną imienia, nazwiska, pozbawioną indywidualnych rysów i indywidualnej historii, ofiarą zbrodni ludobójstwa. Czy to właśnie, dramat własnej śmierci i moc poezji, przeczuwała autorka *Żar-Ptaka*, pisząc: „a za mną smugą surową wiersze znaczą mój ślad” (322)?

Symbolicznie zatem czytam zdarzenie, pozornie mało istotne, które zapamiętałam z poszukiwań sprzed lat, a które przywołałam w pamięci w ubiegłym roku podczas przygotowań nowej edycji poezji zebranych Ginczanki dla Wydawnictwa Marginesy.

Wróciłam wówczas do wiosny 1990, kiedy gromadziłam dokumenty pozostałe po Zuzannie i trafiłam do Juliusza Wiktora Gomulickiego, który przechowywał świadectwa osób pamiętających autorkę, zebrane przez Kazimierza Wykę w 1949 roku dla redakcji „Odrodzenia”. Wśród materiałów, jakie udostępnił mi Gomulicki, były autografy dwóch wierszy Ginczanki – podpisane przez poetkę maszynopisy *Żegluga* i *Zdrady*. Pożółkłe, wyraźnie nadpalone kartki... Chwalił się wybitny kolekcjoner i archiwista, że to rękopisy ocalone z płonącego archiwum Juliana Tuwima. Po trzydziestu latach postanowiłam więc odnaleźć owe unikatowe świadectwa. Wydawało się – bez skutku, skoro nie znalazłam ich w przekazanym do Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie archiwum Gomulickiego ani w pozostałych w zbiorach rodzinnych materiałach. A jednak – sam trafił do mnie jeden z tych wierszy. Jasne: musiała to być *Zdrada* z owym towarzyszącym mi „Nie upilnuje mnie nikt”. Otrzymałam mianowicie z Biblioteki Narodowej w Warszawie pytanie dotyczące autentyczności podpisu



pod tekstem wiersza⁵. Po trzydziestu latach znów czytałam tak bardzo symboliczne i ważne słowa, wystukane na maszynie być może przez samą Zuzannę. Słowa na nadpalonej, coraz bardziej kruchej kartce papieru, ale wciąż wyraźne, czytelne, z jasnym przesłaniem...

Zdrada. Tak, tego jestem pewna – z jej doświadczeniem zmagła się Zuzanna przez całe życie. I to ona będzie lejtmotywy jej historii. Opowiem o pierwszej zdradzie, być może najbardziej bolesnej, zdradzie rodziców. I o kolejnych zdradach – mężczyzn, którzy nie byli godni tej niezwykłej i niezwykłej kobiety. O zdradach pospolitych „zjadaczy chleba”, którzy z pobudek trudnych do zrozumienia i niegodnych jakichkolwiek wyjaśnień – donosili,

⁵ Do Biblioteki Narodowej rękopis został zakupiony w połowie lat dziewięćdziesiątych w Domu Aukcyjnym Unicum w Warszawie.

denuncjowali, poświęcili jej życie za rzeczy żydowskie. Wreszcie – o zdradzie wybitnej urody, która budziła zazdrość i obawy kobiet, rozpałała chęć zemsty odrzuconych mężczyzn, ale też – nie pozostawiała wątpliwości co do pochodzenia dziewczyny, zyskując status piętna, stając się przyczyną łowów, panicznej ucieczki i śmierci.

RÓWIEŃSKI ANIOŁ

Czy wie Pani, że Zuzanna, kiedy była uczennicą w Równem, przed każdymi świętami Bożego Narodzenia ozdabiała wystawę sklepu swojej babki jako anioł? Klęczała w białej sukience, ze skrzydłami, srebrną przepaską na czole, a może złotą, i w białych pantofelkach. [...] Klęczała nieraz bardzo długo.¹

Tę znaną dziś powszechnie anegdotę z dzieciństwa Zuzanny Ginczanki ujawnił Kazimierz Brandys, który w 1989 roku podzielił się ze mną kilkoma wspomnieniami związanymi z poetką. Równianka Lusja Gelmont (później Stauber), młodsza koleżanka Ginczanki, dodała, że wokół wystawy gromadziły się umorusane dzieciaki, przyklejały buzie do szyby, by podziwiać piękną dziewczynę. Czasem wychodziła do nich babcia Zuzanny i rozdawała zmarzniętym małym gapiom cukierki. Więc następnego dnia gromadzili się znowu. Ta historia, powtarzana chętnie przez licznych komentatorów biografii i twórczości Ginczanki w charakterze ozdobnika, dowodu na egzotykę prowincjonalnego rytuału, jest dla mnie metaforą jej losu, życia za wystawową szklaną szybą, uniemożliwiającą porozumienie ze światem, pozwalającą jedynie na podglądanie cudzej egzystencji, co z tego, że przebiegającej w nędzy, w chłodzie i brudzie. Z pewnością cukierki miały tam słodszy, wyrazistszy smak, smak niespodzianki, spełnienia i dziecięcego szczęścia. Aureola wyjątko-

¹ List Kazimierza Brandysa do Izoldy Kiec, Paryż, 30 listopada 1989. W posiadaniu adresatki. We wszystkich cytowanych listach zachowuję pisownię zgodną z oryginałem.

wości zapewniała jedynie życie w osamotnieniu, w opuszczeniu, w izolacji. Mimo że musiało ono budzić zachwyt otoczenia, onieśmienie, prawdopodobnie też zazdrość, dla Zuzanny z pewnością łączyło się z bólem, z cierpieniem, z koniecznością nakładania maski uśmiechu na użytek zbiegowiska. W wierszach młodej poetki dramat ten znalazł najpełniejszy chyba wyraz w kończącym utwór *Zza barykad* dwuwersie, napisanym przez niespełna siedemnastoletnią gimnazjalistkę: „patrzysz mi w oczy jak w szklane szyby, jak nieprzebite graniczne szyby / i nie wiesz wcale, jak w myśli wołam: uwolń mnie, miły, ratuj i wybaw –” (169).

Z lirycznych opowieści, zaklęć i próśb Zuzanny Ginczanki wyłania się metaforyczny, rysowany delikatną kreską, na wzór owego wspomnienia Brandysa z dzieciństwa młodziutkiej autorki, obraz rówieńskiego anioła – figura poezji, która daje pocieszenie i ochrania, oswaja zbiorowe zagrożenia i jednostkowe lęki. Jednocześnie tej, która zapewnia opiekę, oferuje jedynie egzystencję pomiędzy słowami, egzystencję nierzeczywistą, skazaną na oddalenie od zwyczajności, zbiorowości, nazywanych niekiedy – normalnym życiem. Na wieczne oddalenie, także dzisiaj, gdy wystawy dawno już nie ma, bo unicestwiona została wraz ze zmienionym w 1941 roku w stos gruzu domem babci w Równem, gdy po Zuzannie nie pozostał grób, a nawet pewność, że to tam, w Płaszowie, 5 maja 1944 roku, dosięgło ją ostatnie nienawistne spojrzenie hitlerowskiego oprawcy. Są jedynie słowa. Aż słowa.

RÓWNE WOŁYŃSKIE (1917/1918–1935)

B. Terlecki, burmistrz miasta Bereznego
**RÓWNE, NAJWIĘKSZY GRÓD WOŁYŃSKI
O AMERYKAŃSKIM ROZMACHU**

Powstanie miasta Równego nie jest dotychczas ściśle oznaczone. W bezimiennym „latopisie”, załączonym do kroniki Nestora, wspomniany jest w liczbie pierwotnych miast Rówieńsk. Wskazywałoby to, że Równe jest jednym z najstarszych miast ówczesnego państwa ruskiego. Historyczne daty, odnoszące się do Równego, zaczynają się dopiero w xv wieku; wspominają one, że Równe należało wówczas do ziemianina Dyczka. Z rąk Dyczka miasto przeszło do książąt nieświeskich, następnie do Holszańskich. Marja z Nieświeskich Holszańska wybudowała w Równem pierwszy zamek, na gruzach którego stanął następnie zamek Lubomirskich. Drogą małżeństw Równe przeszło następnie na własność książąt Ostrogskich, później Łaskich, Łukasza z Górki, wojewody łączyckiego, wróciło potem znowu do Ostrogskich. Następnie, również drogą małżeństw, właścicielami Równego byli: Tomasz Zamoyski, wojewoda kijowski, Aleksander Koniecpolski, wojewoda sandomierski i spadkobiercy jego Stanisław i Aleksander.

W końcu Równe przeszło drogą spadku do Aleksandra Walewskiego, miecznika Sieradzkiego, który w roku 1725 odstąpił Równe Jerzemu Aleksandrowi Lubomirskiemu. Odtąd Równe pozostało już w rękach Lubomirskich.



Równe, jak cały szereg miast Wołynia, przechodziło nawały tatarskie i wojny kozackie, szwedzkie i inne. Miało swoje chwile rozkwitu, nawet niewykorzystane prawa magdeburskie i przywileje na jarmarki, miało i chwile bardzo ciężkie w czasie najazdów tatarskich i liczne pożary, w czasie których spłonął i stary zamek w 1694 r.

Największy rozwój miasta datuje się od roku 1738, za czasów władania Równem przez księcia Stanisława Lubomirskiego. Odbudowuje on zamek, nadając mu charakter pałacu, który przetrwał do ostatnich lat i spłonął w roku 1926 [1927 – I.K.], urządza miasto, sprowadzając osadników i osadzając ich na popularnym wówczas prawie czynszowym. Od tej pory miasto zaczyna się rozwijać i dochodzi do obecnego stanu. [...]

Po powrocie Wołynia do Rzeczypospolitej władze komunalne przystąpiły do energicznego wyrównania strat i szkód, wyrządzonych

przez wojnę światową. Od tej pory przystąpiono do uporządkowania miasta, założono chodniki i wybrukowano znaczną część ulic i założono skwery miejskie.

Na bardzo znaczne trudności napotyka Zarząd miasta przy nowych inwestycjach, z powodu braku gruntów i placów miejskich. Brak ich spowodował niezałożenie dotychczas tak potrzebnego dla ludności parku miejskiego, oraz uniemożliwił budowę gmachów użyteczności publicznej. Brak funduszy nie pozwolił dotychczas miastu wykupić, znajdujących się prawie w śródmieściu, kilkunastu hektarów bagien, które ujemnie wpływają na stan sanitarny miasta i urządzić na ich miejscu ogrodu miejskiego. [...]

Jako największe miasto na Wołyniu, należy Równe do liczby tych 12 miast w Polsce, w których ilość mieszkańców przekracza 50 000. Niezależnie od siły zaludnienia, a dzięki pozycji zajmowanej w świecie handlowym jest Równe – jak wykazaliśmy powyżej – miastem bardzo zamożnym, z wszelkimi widokami na przyszłość. I mimo to wszystko nie zdobyło dotychczas tych najkonieczniejszych urządzeń, jakie są udziałem przeciętnej osady na cywilizowanym zachodzie. Było w tem dużo niezaradności, a może i złej woli poprzednich zarządów miejskich, tak aby ludny ośrodek pozostawić bez nowoczesnego zaopatrzenia w wodę, bez prawidłowej asenizacji, bez szpitali, rzeźni, straży ogniowej, szkół, ratusza itp.

Zwalanie całej winy za to upośledzenie miasta na zaborców jest już dziś – po 10 latach samoistnego bytowania – aż nazbyt widocznym naciąganiem faktów. Tem większe uznanie należy się nowo obranej municypalności, która zerwała z dotychczasowym marazmem i raźnie a skutecznie zabrała się do odrobienia zaległości, odziedziczonych w puściznie po poprzednikach. Ludność z nieukrywanym zadowoleniem i rosnącym zainteresowaniem przygląda się energicznej działalności obecnego Magistratu i patronującej mu Rady miejskiej.

Stare grzechy przeciw dobru publicznemu przechodzą do smutnych wspomnień, a braki elementarne zostają stopniowo usuwane.

— 336 —

Dlaczego właśnie Wołyń?

(ZAMIAST WSTĘPU.)

Nadobnie i zajmująco pisał kiedyś Karol May o krainach egzotycznych, których nigdy, jako żywo, na swe oczy nie oglądał. Najpiękniej i najciekawiej prawił atoli o stronach, wogóle nietkniętych stopą człowieka o zachodniej kulturze.

Doświadczenia Karola Maya są kreslącemu te słowa mocnym pokrzepieniem serca. Rzecz, która w tak znakomitym stopniu udała się jednemu, może drugiemu uść bodaj na sucho... Wprawdzie przysłowie sarmackie głosi: „Co wolno wojewodzie, to nie tobie, samochodzie!” — ale mądrość przysłów jest wykładnią zasad, te zaś dopuszczają wyjątki.

Zaprotokółowawszy powyższe, chwytny się za ołówek, by naszkicować... Wołyń. Dlaczego akurat Wołyń, a nie np. Kakondę czy Manahiki — to musi być uzasadnione, zwłaszcza po wspomnieniu Maya, który, coby prawda, nie zapuszczał się aż tak daleko, w każdym jednak razie grasował po tropikach.

Dlaczego Wołyń?

Niech odpowie za nas odezwia, wydana przez najwybitniejszych obywateli Wołynia, z racji Wystawy Wołyńskiej w Łucku.

Musimy okazać Polsce caleg — piszą zanni patryjoci z nad Styru i Ikwy — jaki jest obecnie poziom kultury kraju, w którym dziesięć lat temu szalał huragan wojny wszechświatowej, ryjąc na polach okopy, niszcząc ogniem budowie i zbiory, tenięg żywy dobytek, wypędzając ludność z ich siedzib. Praca restauracyjna na Kresach Wschodnich nieprędko jeszcze dobiegnie końca — ale to, co dotychczas zrobiono, zasługuje na uwagę, uznanie i podziw. Wystawa Wołyńska będzie zobrazowaniem całokształtu 10-cioletniej pracy na Wołyniu i da przedsmak tego, z czem Wołyń wystąpi na Wystawie Powszechnej w Poznaniu.

Zadaniem pracy niniejszej jest sprzenotowanie Wołynia jaknajszerszej opinii publicznej, Wołynia samego, w prawdziwej jego postaci, z wszystkimi przymiotami i właściwościami, takiego, jakim jest, a nie takiego, jakim dopiero być zamierza, wnosząc z starannie dobranych pokazów na Wystawie Rolniczo-Przemysłowej. Pobrodzimszy po bagnach i trzęsawiskach wołyńskich, połamawszy wóz na tamecznych bezdrożach i wogóle zetknawszy się blisko, a bezpośrednio z twardą dola ziemi, opiewanej na różowo w „Ramotach starego Dietiaka” — czytelnik uwag poniższych dopiero pojmie i oceni wysiłek społeczeństwa, które w tak bardzo niesprzyjających warunkach i przekornych okolicznościach zdołało tyłu dokazać cudów.

Zrozumie, ile sprawiedliwej dumy i wiary w siły własne mieszczą takie naprzykład dalsze słowa odezwy:

Tam (mówi się już o Wystawie Powszechnej w Poznaniu) mamy zadokumentować o żywotności narodu polskiego, a wszczęgłości Wołynia, i przekonać świat cały, że Polska jest krajem bogatym, o dużej przyszłości gospodarczej.

Wołyń na Wystawie Poznańskiej ma zobrazować charakter Województwa Wołyńskiego pod względem rolniczym, ma przedstawić swój odbudowujący się dobrobek kultury ogólnej, zainteresować Zachód wielką

siłą produkcyjną ziemi wołyńskiej i pojemnością dla przemysłu, bezmiarem niewyzyskanych bogactw.

Krótko mówiąc: Wołyń pokaże, jak się przychodzi, z nędzy do pieniędzy!

A my, tu, na łamach „Polskiego Przemysłu Budowlanego”, zilustrujemy pierwszą część tej metafory.

Rozpatrzymy najpierw Wołyń jako kompleks terytorjalny pod kątem uposażenia przyrody i zdobyczy kulturalnych, przeżył dziejowych, współczesnego bytowania i możliwości rozwojowych na przyszłość.

Uporawszy się z całością, przystąpimy do szczegółów — poddamy przeglądowi powiaty, miasta, miasteczka.

Staraniem naszym będzie dać możliwie wierny i pełny konspekt rzeczywistości.

Lecz tu samorzutnie wyskakuje pewien szkopol, o którym przemilczeć niesposób. Redakcja pisma zawodowego — to nie świątynia dumania natchnionego poety czy pracownia artystyczna romanso-pisarza, zbrojna w arsenal przyrządów do wywoływania złydy; to raczej warsztat rzemieślnicy, t. zw. w języku poulnym mordownia, gdzie gruby surowiec i półfabrykaty zebranych informacji przetwarza się w pocie czoła na produkt lektury, jako tako strawny dla ogółu. Niema tu przyzmatu do rozszczepiania światła łojówki na przepychy tęczy, ani wkleśłego zwierciadła, w którym komar upodabania się do zyrafy — są natomiast ostre lupy, cyrkle i strychulce, służące do ujawniania i pomiaru istotnych wartości.

Wciągu trzech kwartałów nawoływaliśmy Wołyń, by nam dostarczył tworzywa do zrobienia jego portretu. Wysyłaliśmy bilietdoux'y i cyrkularze, odezwy i supliki, emisariuszy i delegatów, ponaślaliśmy expressami, telegraem i telefonem — słowem: wyczerpaliśmy wszelkie środki komunikacji wprost i za pośrednictwem władz wojewódzkich, poto, aby uprosić i nakłonić, kogo należy, do przesłania nam garści wiarogodnych wiadomości o poszczęgólnych ziemiach, grodach i włościach, stanowiących w sumie Województwo Wołyńskie.

Specjalny wysłannik redakcji odeptał Wołyń wkolo i zjezdził go wzdłuż i wpoprzek, odbywając po kilkakroć rozmowy z czołowymi mężami miejscowej społeczności, panami prezydentami i burmistrzami miast, naczelnikami urzędów, przedstawicielami związków i organizacyj, kupcami, przemysłowcami, rolnikami, członkami wolnych i poniewolnych zawodów, wreszcie z każdym, kto pozwalał przypuszczać, że miałby coś do powiedzenia o swojej ściślejszej oiczyźnie, czego inni nie wiedzą lub wyjawić nie chcą, czy nie mogą. Wszyscy niemal bez wyjątku obiecali nadesłać swoje cenne informacje w postaci już to gotowych do druku artykułów, bądź też tylko zwięzłych notatek, oryginalnych dokumentów lub ich odpisów, sprawozdań, zestawień i wreszcie nawet gdzieś i kiedyś wydrukowanych już elaboratów. Spis imion tych łaskawych informatorów, przedstawiony nam przez powróconego na łono redakcji delegata, był poprostu imponujący. Gdyby tylko połowa z nich wywiązała się z danych przyrzeczeń — groził nam istny zalew

W odróżnieniu od dawnych ojców miasta nowy burmistrz, p. Arciemowicz, jest najgorliwszym rzecznikiem podjętego zadania odnowy, a raczej unowocześnienia Równego. [...]²

„TECHNOWATT“
Sp. z o. o.
TOWARZYSTWO TECHNICZNO-HANDLOWE
RÓWNE—WOŁYŃ
ul. 3-go Maja 74, tel. 198.
ODDZIAŁY:
Równe, 3-go Maja 133,
Krzemieniec, Szeroka 75.
Elektrotechnika, Instalacja, Radio.

296

JANKIEL FISZBEJN
PRZEMYSŁ NAFTOWY I DRZEWNY
Równe, ul. Józefa Hallera, Nr. 17.
Telefon Nr. 259.

z 289

ZAKŁADY PRZEMYSŁOWE
BROWARÓW
i FABRYKI DROŻDŻY SPIRYTUSOWYCH
„BERGSZLOS“
Sp. Akc.
w RÓWNEM,
UL. 3-go MAJA № 189, TEL № 69.

341

Młyn Parowo-Walcowy
wyrób różnych kasz hreczanych, jęczmiennych, jagła i mąki
M. B. SOŁOMINSKIEGO
W Równem, ul. Dubieńska 41. Tel. Nr. 18.

² B. Terlecki, *Równe, największy gród wołyński o amerykańskim rozmachu*, „Polski Przemysł Budowlany”, sierpień 1928, nr 8, s. 362–364.

Mieczysław Orłowicz

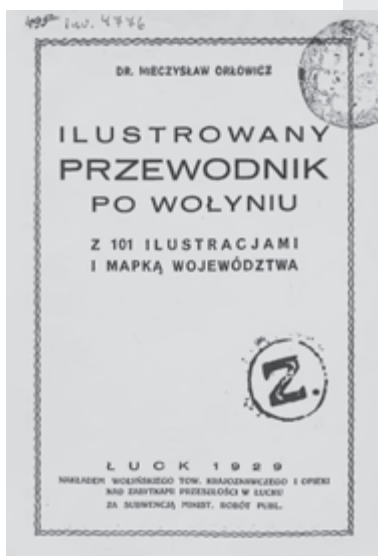
ILUSTROWANY PRZEWODNIK PO WOŁYNIU

[...] Miasto jest nieładne i niesystematycznie zabudowane. Całe miasto ciągnie się na przestrzeni 3 km wzdłuż szosy Łuck–Korzec, która stanowi główną ulicę miasta. Dawniej nazywała się ona ul. Szosową, a obecnie ul. 3 Maja. Przecina ona całe miasto ze wschodu na zachód. Ulica ta jest bardzo brzydko zabudowana, przeważnie parterowymi bezstylowymi domami. Środek miasta leży na równinie bagnistej nad rzeką Uściem, przedmieścia wschodnie i zachodnie na wzgórzach. Centrum miasta oddzielone jest od przedmieścia zachodniego, na którym stoją duże koszary, torami dworca kolejowego.

Przy ulicy 3 Maja stoi kościół, neogotyck z czerwonej cegły z dwiema wieżami. [...] Dalej na wschód stoi przy ul. 3 Maja sobór prawosławny ozdobiony 6 kopułami, które rzucają się w oczy przy ogólnym widoku miasta. [...]

Z ul. 3 Maja zbaczamy na południe ul. Zamkową do ruin Zamku. Niegdyś w tym miejscu stał pierwotny zamek ks. Ostrogskich [...]. Na wiosnę 1927 roku spalił się zamek, a po pożarze tym pozostały tylko nagie mury bez dachu i sufitów, które się pozapadały. Ruina ta stoi obecnie w pustkowiu, powstałem na miejscu wspaniałego niegdyś, później wyciętego parku. Przed frontem urządzono boisko sportowe Sokoła, obok którego zachowały się resztki wałów zamkowych. Stawy, które otaczały niegdyś zamek dokoła, zamieniły się częściowo w bagna, a częściowo w łąki, co spowodowało, że zamek stracił dawną malowniczość położenia.

Przy końcu ul. 3 Maja, na przedmieściu od strony Korca, stoi dawny pałacyk ks. Fryderyka Lubomirskiego „Na Górze” zbudowany około



12. R Ó W N E

Dworzec kolejowy w sąsiedztwie głównej ul. Trzeciego Maja, skąd dla ułatwienia komunikacji ze śródmieściem i wschodnią dzielnicą miasta kursują liczne autodorożki i dorożki konne.

Hotele: pierwszorzędne Europa, Bristol, Warszawa, Wiktorja. Drugorzędne: Metropol, San-Remo, Belle Vue, Imperjal, wszystkie przy ul. Trzeciego Maja.

Restauracje pierwszorzędna „Nowy Świat” (z kabaretem i danciem) przy ul. Trzeciego Maja i „Artel”; drugorzędne „Kaukaz” wszystkie przy ul. Trzeciego Maja.

Kawiarnie: „Edward”, Raże — obie przy ul. Trzeciego Maja.

Sport: Wojskowy Klub Sportowy „Hallerczyk” posiada boisko przy koszarach na Woli. „Sokół” ma obok dawnego zamku boisko piłki nożnej, oraz dwa korty tenisowe. Ponadto salę gimnastyczną i kort tenisowy utrzymuje żydowski klub „Hasmonea”.

Równe jest największym i najbardziej handlowym miastem województwa wołyńskiego a zarazem ważnym węzłem kolejowym. Jest to miasto powiatowe o 62.000 m., a zarazem siedziba kuratorjum szkolnego okręgu wołyńskiego i Sądu Okręgowego. Wśród mieszkańców 10% Polaków, zresztą żydzi, posługujący się żargonem lub językiem rosyjskim, które to języki najczęściej słychać na ulicach miasta. Leży ono nad rzeką *Uściem*, w urodzajnej okolicy czarnoziemnej, pagórkowatej, niegdyś bogatej w stawy. Obecnie zamieniły się one w niedzicze *bagna*, powodujące malarję.

Dzieje miasta. Do początku XVII wieku należało Równe do dóbr *ks. Ostrogskich*, a po ich wygaśnięciu w początkach XVII wieku przeszło drogą

roku 1840 w stylu empirowym. Obecnie bezstylowo przebudowany mieści sąd okręgowy. W pałacu tym znajdowały się niegdyś zbiory artystyczne, przeniesione później do muzeum Lubomirskich we Lwowie i w Przeworsku. W parku przy tym pałacu pozostała dawna oranżeria *ks. Lubomirskich*, mieszcząca obecnie bursę. Jest to gmach empirowy z jońską kolumnadą. Z licznych rzeźb, które niegdyś zdobiły park pozostały tylko dwie rokokowe. Dawny park Lubomirskich służy obecnie jako park miejski. [...]

Do najokazalszych gmachów należy w Równem budynek kuratorium szkolnego wołyńskiego, zbudowany w stylu klasycznym przy jednej z bocznych ulic, niedaleko soboru. [...]

Rosjanie zamienili w końcu XIX wieku Równe na obóz warowny, który we wrześniu 1915 r. stanowił dla nich główny punkt oparcia. Wyszła stąd ich kontrofensywa, która nie tylko wstrzymała pochód wojsk centralnych na wschód, ale zmusiła je do cofnięcia się na linię Łuck–Brody. Pamiątką walk z owych czasów jest cmentarz wojskowy rosyjski, urządzony w sąsiedztwie cmentarza prawosławnego. Pochowano tu zwłoki 1800 żołnierzy. Poza tem na cmentarzu katolickim pochowano 150 polskich żołnierzy, poległych w czasie walk z bolszewikami.

Okoliczne gościńce posiadały piękne aleje topoli nadwiślańskich, zasadzonych w początkach XIX w. z inicjatywy Aleksandra I. Obecnie z powodu starości drzew zostały one już przeważnie wycięte.³



Aleksander Piskor

MIASTO 400 PREZESÓW

PRZESZŁOŚĆ I TERAŹNIEJSZOŚĆ

Przez miasto przecieka mała, brudna rzeczka. Nad jej brzegami, ponoć w IX wieku, osiedlili się jacyś ludzie. Nie wiadomo dlaczego. Miejsco-wość na ogół równinna, obronić ją było trudno, a zdobyć łatwo. Powstała mimo to osada, której właścicielem w XV wieku był miejscowy sobiepan Iwaszko Dyczko. Potrzebował pieniędzy, gdyż w 1461 roku

³ M. Orłowicz, *Ilustrowany przewodnik po Wołyniu: z 101 ilustracjami i mapką województwa*, Łuck 1929, s. 208–213.

sprzedał Równe za 900 kop szerokich groszy księciu Nieświckiemu [Nieświeskiemu]. Od tego czasu miasto wielokrotnie niszczyli Tatarzy, pożary i morowe zarazy. Wielcy panowie obdarzali nim zwykle swe córki, przed zamążpójściem, przeto zmieniali się często właściciele. Lubomirscy w XVIII wieku zbudowali murowany zamek, który spalił się w 1927 roku. Następnie nadali przywileje Żydom i przez to przekształcili oblicze miasta. Żydzi zaczęli ciągnąć do Równego jak do Ziemi Obiecanej. Rozmnożyli się. Obecnie na 43 000 jest ich przeszło połowa. Trzecią część stanowią Polacy, reszta zaś składa się z innych aryjczyków: Ukraińców, Rosjan, Czechów i odrobiny Niemców.

Po wojnie rokowano miastu wielką przyszłość. Niedaleko znajduje się sowiecka granica, miał się przeto rozwijać handel. Handel rozwijał się, ale w Warszawie i Moskwie. Przez Równe szły tylko transporty kolejowe z towarami. Nikt w mieście nie miał oczywiście z tego nawet grosza. Przemysł znowuż uprawiany był na zbyt małą skalę, aby mógł wpłynąć na ogólny dobrobyt. Mimo to miasto przez kilka lat „prosperity” rosło. Powstawały nowe ulice, nowe budynki, skasowano jeden most, marzono nawet o kanalizacji.

Potem nastąpił kryzys.

Przeważająca część mieszkańców utrzymuje się z handlu. Naokoło kraj rolniczy, zboże tanie, rolnicy nie mają pieniędzy. W sklepach zapanowały pustki. Miasto zubożało. Zarzucono wielkie inwestycje. Zorganizowano tylko doskonałe Targi Wołyńskie, aby robić jakiś ruch. Potem została wybudowana brzydka poczta. I na tem się wszystko skończyło. „Stolica Wołynia” pozostała nadal bardzo dużym – małym miasteczkiem. „Wielka przyszłość” została odłożona na przyszłość.

„ŚLEDZIORYB”

Tak jak w miasteczkach Lewisa Sinclaira, jest tylko jedna wielka ulica. Nazywa się tu 3-go Maja. Przed wojną nazywała się: Szosowa, gdyż jest częścią szosy Łuck–Korzec, w obrębie miasta wybrukowaną „kociemi łbami”. Po obydwóch stronach tej przeszło dwukilometrowej magistrali,

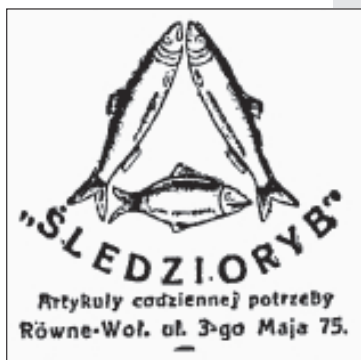
koncentruje się życie handlowe. Jeden obok drugiego tłoczą się sklepiki, sklepy, magazyny o dużych wystawach i tandetne drewniane budki.

Wzrok przechodnia wabią wymyślne szyldy „Woda sodowa – duży szklanka 2 gr”, „Sensacyjny napój orzeźwiający – American – Drix – nowość nieznaną w Polsce”. Magazyny towarów łokciowych i gotowych ubrań, w których ofiaruje się za towar 10% ceny żądanej, a po godzinnym targu ku zadowoleniu kupca – płaci się 15%. Wszystkie branże. Między innymi „Śledzioryb”⁴. Na jednym szyldzie: rysunek dużego śledzia z otwartą paszczą, gotową do połknięcia kupującego, na drugim: trzy bezmyślne rybki, ułożone w trójkąt. W oknie ulotka: „Nadeszły śledzie o pięknym zapachu”.

Wszyscy sprzedają wszystko. [...]

Chłopi kupują tutaj potajemnie sacharynę, gdyż ich nie krzepi cukier. W pokojkach, przylegających do sklepów, można dostać popularną na Wołyniu „sznyrkę” – eter mieszany z alkoholem. Gdzie indziej można dostać złote ruble, zagraniczną walutę i zagraniczny paszport, po cenie niższej niż w starostwie. W zaofiarowaniu brylanty z carskiej korony, które coraz trudniej opylić w Warszawie.

Na ulicach furmanki, dorożki i co parę godzin pojedynczy samochód. Komunikacja autobusowa, po raz pierwszy w dziejach świata,



⁴ Wspominał mi o tej oryginalnej nazwie Tadeusz Błażejowski, starszy kolega Ginczanki, w jednym ze swoich listów. Przytoczę dłuższy fragment tego wspomnienia, ponieważ w niezwykle sposób oddaje także atmosferę miasteczka: „Idąc dalej widzimy zwartą zabudowę ulicy [3 Maja w Równem Wołyńskim – I.K.] po obu stronach domy mieszkalne, w parterze sklepy, jakaś firma p[od] n[azwą] «ŚLEDZIORYB», co budziło wesołość moją i moich przyjaciół, SŁAWKA JANCZARSKIEGO i WOWY APOSZAŃSKIEGO – przemilego, wesołego Rosjanina, z którym siedziałem na jednej ławce przez kilka lat (NB ojciec jego uczył nas fizyki; przed rokiem 1918 był carskim inspektorem szkolnym na Wołyniu, opowiadało, że mówił: «Polskawo języka niet, jest tylko polskoje narieczie!!»)”. List Tadeusza Błażejowskiego do Izoldy Kiec, Warszawa, 24 lutego 1992. W posiadaniu adresatki.

została skasowana z powodu nadmiernej frekwencji. W paru wozach panował stale przeraźliwy ścisk i stale rozgrywały się wielkie awantury o miejsca. Aby zlikwidować coraz bardziej rosnący z tego powodu wśród mieszkańców ferment niezadowolenia, zlikwidowano autobusy. Obecnie ludzie chodzą pieszo lub jeżdżą dorożkami. Są spokojni i więcej się nie denerwują.

W mieście dużo hoteli o szumnych nazwach: Europejski, Bristol, San Remo, Bellevue i inne. Moc „domów noclegowych” i „umeblowanych pokoi”. Przyjezdnych mężczyzn w tych pokojach, domach i hotelach, pyta na wstępie właściciel – portjer – jaką dziewczynkę ma sprowadzić na noc. Gdy gość na tę propozycję jest nieczuły i nie chce się zdecydować, portjer podejrzliwie spogląda na niego i próbuje inaczej.

– Może panu zrobić łazienkę? A może z „rybką”?

Gdy ktoś łapie się na tę propozycję, po chwili odwiedza go ciemnowłosa lub platynowa „rybka”. Łazienka – to tylko przynęta. W żadnym bowiem hotelu nie ma łazienki.

Kąpiele zresztą są utrudnione z powodu braku wody. W mieście nie ma wodociągów i dostatecznej ilości studzien. Dlatego rano wyjeżdżają na ulicę woziwody, każdy prowadzi za uzdę konia, ciągnącego beczkę umieszczoną na dwóch kołach i głośno zachwala swój towar. Kubeł 2 grosze! Magistrat również robi podobne interesy. Zakłada automaty, z których leje się całe wiadro cennego płynu, po wrzuceniu dwugroszowej monety. Woziwody jednak udzielają kredytu i tem biją chytre, konkurencyjne pomysły ojców miasta. Poza tem stałych odbiorców obdarzają rabatem. A automaty nic. Czekają tylko na forszę. Za darmo nie dadzą nawet ćwierć litra wody. Dla woziwodów nie jest to groźna konkurencja.

PREZEŚI

Ludzie w Równem, z małymi wyjątkami zajmują się handlem lub są urzędnikami. Z grubsza, poza narodowościami, dzielą się na dwie warstwy: inteligencję i resztę. Wołyńscy chłopci nie wiadomo dlaczego

nazywają inteligencję „panami” i zazdroszczą jej rzekomego przepychu życia. „Reszta” jest taka sama jak wszędzie, ciemna masa – wiadomo. Natomiast wśród inteligencji nurtują wielkie ambicje.

Nikt nie chce być szarym człowiekiem. Każdy chce być czemś, pragnie wybić się ponad innych. Przynajmniej mieć tytuł – to już wielka przyjemność. Tym wszystkim, spragnionym wielkości przychodzi z pomocą ustawa, która zezwala 15 obywatelom założyć stowarzyszenie. „Społecznictwo” jest dobrze widziane. Przyjemnie powiedzieć: „Społecznie pracuję, proszę pana”. Dlatego w tym małym mieście jest około 400 stowarzyszeń. Po ulicach przechadza się co dnia 400 prezesów, 400 skarbników, 400 sekretarzy zwykłych i generalnych oraz 400 przewodniczących komisji rewizyjnych, 800 wiceprezesów i 800 członków komisji rewizyjnych, 1600 członków zarządów i kilku prawdopodobnie zwyczajnych, nieutytułowanych członków stowarzyszeń.

Gdyby można było zebrać wszystkich należących do zarządów i ustawić obok siebie tworzyliby szpaler długości około 3 kilometrów. Zmobilizowani tworzyliby grupę mniej więcej odpowiadającą stanowi dywizji piechoty. Dla przewiezienia zarządów na ewentualny zjazd do Warszawy potrzeba by było 6 dużych pociągów. Podobna statystyka uzmysławia nam ogrom „życia społecznego” w Równem.

DWA KAUKAZY

Jeden Kaukaz – to restauracja na ulicy 3-go Maja. Zbierają się tam miejscowi prezesi, przejezdni urzędnicy, leśni przemysłowcy, podróżujący agenci i niezrjunowani obywatele ziemscy. Podczas „diner” orkiestra gra *Wołgę* i *Weronikę*, kelnerzy w smokach „bezszelestnie” podają zamówione potrawy, a rozpostarci na krzesłach burżuje popijają czystą wyborową, radując się pięknnością życia. Są syści i zadowoleni. Omawiają po polsku, rosyjsku i żydowsku swoje interesy, nie myślą o drugim Kaukazie.

Drugi Kaukaz – to nędza. Duże przedmieście zamieszkałe przez miejscowych parjasów wszelkich wyznań i narodowości. Kręte, wąskie i brudne uliczki. Parterowe drewniane domki, na pół zawałone

i wtulone w ziemię lepianki, których okna znajdują się na wysokości kolan przechodnia. Tutaj mają swoją siedzibę wszyscy wydziedziczeni. Robotnicy, bezrobotni, przekupnie, drobni złodzieje i „byli ludzie”. W jednym pokoju obok siebie nieraz dwie, trzy rodziny. Dorosli i dzieci. Ścisk, brud, zaduch. O higienę nikt nie dba. Po co komu higiena, gdy brakuje jedzenia?

Dorośli z rana biegną do miasta pracować, handlować lub kraść. Dzieci po drogach zbierają koński nawóz, który wyschnięty będzie się palił w piecu. Tych dzieci jest bardzo dużo. Są wychudzone, obdarte i brudne. Mimo to biegają, bawią się, śmieją się. Swoje krótkie życie spędziły na przedmieściu, nie widziały nic lepszego, nie mają za czem tęsknić. W ten sposób rośnie przyszłe pokolenie Kaukazu – pokolenie nędzarzy.

KWIATY I KLOZETY

Na ulicach duże afisze TUM-u. To nie są inicjały Taniego Uniwersalnego Magazynu, który niegdyś istniał w Warszawie, lecz Towarzystwa Upiększania Miasta. Równe ma stać się miastem pięknym, wiadomo zaś, że najbardziej upiększają kwiaty. Przeto obywatele kupujcie, hodujcie, pielęgnujcie, umieszczajcie w oknach i na balkonach kwiaty! Niech Równe stanie się miastem kwiatów!

Niestety propaganda nie została poparta karami administracyjnymi. Na afiszach brak utartego zwrotu: „Nie stosujący się do powyższego podlega karze aresztu do 6 tygodni lub grzywnie do 1000 zł, lub obydwu karom łącznie”. Towarzystwo Upiększania Miasta dlatego nie upiękzyło miasta. Pojedyncze kwiaty w oknach były gdziegdzie również dawniej. Po akcji TUM-u na paru zaledwie balkonach pojawiły się skrzynki z roślinami. Obywatele widocznie nie przejęli się wezwaniem, psychologicznie tłumaczy się to tem, że czuli lęk przed innowacjami. Na ulicach nie ma przeto kwiatów, które by swoim zapachem zabiły zapachy klozetów, znajdujących się na chodnikach.

Przekonać się o tem łatwo. Wystarczy skręcić z ul. 3-go Maja na lewo, gdy idzie się w stronę parku Lubomirskich, aby znaleźć się



Równe Wołyńskie, skwer powstały w latach dwudziestych
staraniem Towarzystwa Upiększania Miasta

w egzotycznej dzielnicy. Po obydwóch stronach wąskich uliczek wznoszą się zabudowania o najbardziej fantastycznych kształtach. Murowane domki o jednej ścianie drewnianej, domki drewniane, powyginane w niesamowity sposób, podparte w paru miejscach, z dziurawymi dachami i bez dachów, o mnóstwie przybudówek, ganków i balkoników, pomalowane na białą, czerwono, niebiesko, fioletowo i żółto. W oknach i na balkonach nie kwiaty, lecz wietrzące się poduszki, pierzyny, kołdry i schnąca bielizna. Na ulicach, którymi nie przejeżdżają zwykle żadne pojazdy – bawią się tłumy dzieciaków, w drzwiach mieszkań i na gankach siedzą na krzesłach oparte mamy, które wśród zaduchu, smrodu i krzyku oddają się słodkiemu wypoczynkowi, od czasu do czasu spoglądając na swoje pociechy.

Ulice Joselewicza, Obwodowa, Pereca i inne – widok wszędzie podobny. Nie można tylko iść chodnikami, co parę metrów przegradzają

drogę liczne drewniane budki, pomalowane z zewnątrz wapnem na biało. To są tradycyjne, rodzinne klozety, zamknięte przed niepowołanymi na haczyki lub kłódki. Nie są skanalizowane – tak jak i całe miasto. W ciche, bezwietrzne dnie smród niepodzielnie wypełnia całą dzielnicę i wpełza do mieszkań. Ludzie jednak przyzwyczaili się do tego i trudno im sobie wyobrazić, że może być inaczej.

Mieszkają tam wyłącznie Żydzi. Dziwią się, gdy ujrzą w swojej dzielnicy trochę lepiej ubranego aryjczyka. Co on chce na ul. Pereca? Po co przyszedł? Czy to – sekwestrator?

Gdy szedłem tamtędy, zaczęła mnie kiedyś stara Żydówka. Kogo szukam? Odpowiedziałem, że pana Wasilewicza, pierwsze lepsze nazwisko, które przyszło mi na myśl. Zdziwiła się. Tutaj z pewnością taki nie mieszka. „Tutaj same jęwreje, proszę pana”. Trzy ulice dalej mieszkał jeden „ruski”, ale w zeszłym roku się wyprowadził. „Żona mu umarła i on pojechał do brata na wieś”. Teraz nie ma żadnego „ruskiego” ani „polskiego”. Chyba gdzieś dalej koło 3-go Maja lub ul. 13-ej Dywizji. Tam trzeba szukać.

– Tutaj same jęwreje – kilkakrotnie powtórzyła.

„WIECZORNE SZALEŃSTWA”

Wieczorem wszyscy, bez względu na warstwę społeczną, kogo tylko stać na to, chodzą do kina. Na trzech miejscowych ekranach oglądają barwne, pełne emocji i wrażeń życie, które prowadzą gdzieś daleko inni ludzie. Jedyne wyrwanie się z monotonii codziennej egzystencji! Panie prezesowe, urzędniczki, pensjonarki, ekspedjentki, modystki – wszystkie marzą potem o Gary Cooperze, udają Marlenę lub Gretę, w zależności od ostatniego filmu. Mężczyźni z rozczarowaniem stwierdzają, że ich towarzyszkę nie przypominają w niczem Jean Crawford lub Kay Francis. Tem niemniej idą z nimi, czasami, do parku Lubomirskich. W parku jest kawiarnia, w kawiarni – dancing. Kto chce może tańczyć.

Miejscowe snoby przesiadują w cukierni naprzeciw prawosławnej cerkwi. Jest to dość nędzny lokalik, w lecie pachnący flitem, który



Równe Wołyńskie. Sklep spożywczy Icka Rybaka, luty 1934

dłaczegoś przez autochtonów uważany jest za elegancki. Przebywać w innej dużej i czystej kawiarni to shoking! „Czy pan wie, tam chodzą kupcy?” Żądni „niezdrowych” dreszczów udają się do „Nowego Świata”, jedyne go lokalu, w którym odbywają się produkcje artystyczne w wykonaniu „znanych warszawskich artystów”, zupełnie nieznanymi w stolicy. Cnotliwe matrony gorszą się bezecenstwami, których tam nie ma, i często namawiają mężów do wspólnego spędzenia wieczoru w kabarecie.

Z Kaukazu nikt oczywiście nie chodzi do kina, z ul. Pereca tylko młodzież. Gdy niektórzy bawią się, reszta miasta już śpi. Ludzie muszą się wyspać, gdyż wstają dość wcześnie. Sen jest równocześnie bardzo przyjemną rozrywką. Jedyną dla tych, którzy nie mają pieniędzy.

Na ulicach, w dużych odstępach, świecą latarnie. W dorożkach drzemią miejscowe „jamszczyki”. Czasem ktoś przejdzie, wracając z „wieczornego szaleństwa”. Gdziekolwiek wałęsają się prostytutki. Poza tem jest pusto, cicho i spokojnie.⁵

Stefan Bardczak
RÓWNE NOCĄ

Umilkły ulice, jak mechanizm w zepsutym zegarze,
i wnet odetchnęły pełną piersią domy –
słuchacze referatów, które nikogo nie obchodzą,
w tępych uporze zacięły prostokątne twarze,
by nikomu
nie wyszeptać tajemnic, co wewnątrz się rodzą.

Pędem ulicami galopadą – rejteradą
spłoszone latarnie
jedna za drugą uciekają dwurzędem –

⁵ A. Piskor, *Miasto 400 prezesów*, „Prosto z Mostu” 1935, nr 31, s. 5.

STEFAN BARDCZAK

RYTM O JANOWEJ DOLINIE

*Tu nima wczoraj — jest tylko dziś,
tu stać nie wolno, lecz naprzód iść.
Bazalt jest twardy,
jak twarde dziś —
wołą oskarży
by naprzód iść!*

*W głęb ziemi, w głęb
maszyny, tysiące rąk —
do serca,
jak krety, się wwiereć!*

*Pazurami ryć!
Na chleb — by żyć —
by naprzód —
wciąż naprzód iść!*

*Muskuły w łuk
i rąk i nóg
naprężyć —
i ziem, ziem twardą
zwyciężyć
oskarżem!*

*Wessać się w ziemię pijawką —
bazalt wyssać, jak krew,
choć straszny jest ziemi gniew:
ziem rękę wyciągnie po łup
i legniesz milczący — tak! — trup.*

*W trybów ostrym zgrzytce,
stał świszczącym skowycie,
pary szerokim oddechu
w głęb ziemi po śmierć — po życie!
naprzód szary człowieku!*



KRAJOBRAZY WOŁYNIA

R Ó W N E

*Umilkły ulice, jak mechanizm w zepsutym zegarze,
i wnet odetchnęły pełną piersią domy —
słuchacze referatów, które nikogo nie obchodzą,
w tępych uporze zacięty prostokątne twarze
by nikomu
nie wyszeptać tajemnic, co wewnątrz się rodzą.*

*Pędem ulicami galopują — rejterada
spłazzone latarnie
jedna za drugą uciekają dwurzędem —
noc je z brzaskiem w zapasce śniadą
jak kurczęta zgarnie — —
droga na wschód prowadzi tamtędy!*

*Zawróćcie na północ za Wielkim Wozem,
za wami księżyc,
miast wszystkich i miasteczek honorowyobywatel —
właśnie nad Równem, jak nad obozem,
dzwon nieba naprężył
i w pierwszą wleczyl, jak na apel.*

*Uchyliła się jakaś brama lekko, jak powieka we śnie,
spóźnionych gości wypchnęła kawiarnia
i tylko cień, jak pies, za nimi pobiegł —
a już na wschodzie (jak to latem wcześniej)
brzask kurczawę mgieł z nad czoła zgarnia
i wstaje leniwo, jak człowiek.*



czunku, a policja ma widocznie o wiele ważniejsze
na głowie, niż mieszanie się do sporów między wczoraj
i kochankami Matto Grosso. Dotarliśmy wreszcie do t
wosci położonej nad brzegiem szerokiego strumienia;
wzrostłaż sama sama zroszających wodotryskach na

noc je z brzaskiem w zapaskę śniadą
 jak kurczęta zgarnie – –
 droga na wschód prowadzi tamtędy!

Zawróćcie na północ za Wielkim Wozem,
 za wami księżyc,
 miast wszystkich i miasteczek honorowy obywatel –
 właśnie nad Równem, jak nad obozem,
 dzwon nieba naprężył
 i w pierwszą uderzył, jak na apel.

Uchyliła się jakaś brama lekko, jak powieka we śnie,
 spóźnionych gości wypchnęła kawiarnia
 i tylko cień, jak pies, za nimi pobiegł –
 a już na wschodzie (jak to latem wcześniej)
 brzask kurzawę mgieł znad czoła zgarnia
 i wstaje leniwo, jak człowiek.⁶

Władysław Milczarek

RÓWNE

Ulica 3-go maja szeroka, prosta, daleka –
 śródmieście tętniące gwarem i marszem codziennych kroków.
 Tu domy są te same i sterczą niepotrzebne,
 po starych pańskich komnatach przeszłość bezdomna się włóczy –
 tutaj jest świat legendy i daleki.
 Nie płacz nad ruinami, tu duszno jest i ciasno,
 chodźmy na Grabnik za miasto – tam jest przestronnie, szeroko...
 Tam domy nowe, tam drzewa i oddech pól szeroki.
 Urbanizm... jak tu pięknie... Grabnik to nowe miasto.

⁶ S. Bardczak, *Równe nocą*, „Na Szerokim Świecie” 1935, nr 39, s. 4.

Park Lubomirskich jest pusty... dzisiaj jest dzień roboczy,
widać jak dymią cegielnie wszystkimi kominami.
Słysząc ryk cementowni w pobliskim Zdołbunowie
i widać pociąg z Bolszewji, jak w stronę Równego się toczy.⁷

⁷ W. Milczarek, *Równe*, w: *Antologia poezji grupy poetyckiej „Wołyń”*, oprac. tekstu i wybór wierszy L.W. Szajdak, cz. I, Poznań 2018, s. 154.

Długo wyczekiwana biografia Zuzanny Ginczanki.

To pierwsza tak obszerna opowieść o życiu wybitnej poetki.

Już za życia była legendą kawiarnianej cyganerii drugiej połowy lat trzydziestych. Ulubienica Tuwima i Gombrowicza, polemizowała z Karpińskim i Słonimskim. W czasie wojny uciekła do Lwowa, a stamtąd do Krakowa. W 1944 roku, po kolejnym donosie, została zatrzymana i rozstrzelana w Płaszowie. Miała 27 lat i zyciorys, którym można by obdzielić kilka osób.

Izolda Kiec zbiera i weryfikuje dotychczasowe informacje oraz uzupełnia je o niepublikowane wcześniej relacje, a także fakty zgromadzone podczas wieloletnich poszukiwań w archiwach – niektóre zaskakujące. Nie dąży jednak do rozstrzygnięcia sprzeczności tam, gdzie jest to niemożliwe, ani do stworzenia jednoznacznego obrazu Ginczanki. Liczne tajemnice poetki stara się rozwikłać także poprzez jej wiersze, szczątkowo zachowaną korespondencję i fotografie, mogące kryć więcej aniżeli piękny uśmiech.

IZOLDA KIEC – literaturoznawczyni, teatrolożka i kulturoznawczyni. Zajmuje się literaturą i teatrem XX wieku oraz badaniem form popularnych oraz metodologią badań kultury popularnej. Inspiruje ją krytyka feministyczna, gender studies i szkoła nowej krytyki, zwłaszcza metoda tzw. bliskiego czytania. Pracuje w Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu (w Katedrze Kuratorstwa i Teorii Sztuki). W 2014 roku założyła Fundację Instytut Kultury Popularnej, której jest prezeską i w ramach której współtworzy m.in. projekty wydawnicze: „Studia z Kultury Popularnej” oraz „Wielkopolskie Mikrohistorie”. Autorka opracowania wierszy Zuzanny Ginczanki *Poezje zebrane (1931–1944)* (Marginesy 2019).

www.marginesy.com.pl



9 788366 500075

cena 49,90 zł

PATRONAT MEDALNY

